

kalejdoskop

04/2025 wojewódzki
magazyn kulturalny



Łódź

nr ind. 323489
ISSN 0860-3057
cena 5 zł
(w tym 5% VAT)



Sławomir Fijałkowski,
szef kina Charlie
– zwycięzca plebiscytu
„Energia Kultury 2024”,
14 III 2025



Fot. Tomasz Tomaszewski



Katarzyna Kobro
„Kompozycja
przestrzenna (9)”, 1933
(dzięki uprzejmości
Muzeum Sztuki w Łodzi)
– wystawa zbiorowa
„St Ives i gdzie indziej”
w Muzeum Sztuki ms²,
czynna do 7 VI

Na okładce: Martyna Łuszczczyńska, łódzka malarka
– czytaj na str. 21–24, galeria na str. 25–28
Fot. Aleksandra Banaś

Adres redakcji

Łódzki Dom Kultury
ul. Dowborczyków 18, 90-019 Łódź
tel. 797 326 217
e-mail: kalejdoskop@ldk.lodz.pl

www.e-kalejdoskop.pl

Informacje o imprezach

prosimy przysyłać na adresy

kalejdoskop@ldk.lodz.pl
kalendarium@ldk.lodz.pl

Redakcja

Bogdan Sobieszek – redaktor naczelny
Aleksandra Talaga-Nowacka

Projekt graficzny

Marta Krzemień-Ojak, Leniva° Studio

Skład

Aleksandra Gruszczczyńska
Justyna Purczyńska-Zieleniewska

Druk

SilverPrint
ul. Gliniana 13
91-336 Łódź

Nakład 1300 egz.

Prenumerata

Nie mogą Państwo znaleźć „Kalejdoskopu”
w sklepie lub w kiosku?

Można zaprenumerować go w redakcji.

Wystarczy wpłacić na konto
Łódzkiego Domu Kultury
(44 1020 3352 0000 1002 0014 2562)
kwotę 98 zł, a poczta dostarczy
co miesiąc egzemplarz „Kalejdoskopu”
(jedenaście kolejnych numerów).
Na kalejdoskop@ldk.lodz.pl należy przesłać
swoje dane do wysyłki wraz z informacją,
od którego numeru ma się zacząć prenumerata.

Nie dzieło, a działanie

Bogdan Sobieszek, redaktor naczelny

Co ma wspólnego sztuka życia ze sztuką w życiu? Wiele. Ta zależność dotyczy zarówno tych, którzy tworzą, jak i tych, którzy odbierają dzieła tych pierwszych. Bycie artystą, wyrażanie refleksji, tłumaczenie świata innym bywa postrzegane jako przywilej, wzniesienie się ponad szarą egzystencję, nawet jeśli czasem obarczone jest mękami twórczymi. Adresaci działań artystycznych bogacą się dzięki emocjonalnym bądź intelektualnym przeżyciom. Kontakt ze sztuką – zaspokajanie tej niepowtarzalnie ludzkiej potrzeby – powoduje, że nasze życie staje się lepsze. Sprawa jest jednak bardziej złożona, a owa granica między nadawcą a odbiorcą – nieostra. Aktywność twórcza może „zagospodarowywać” nasze rozterki, lęki, może być nimi inspirowana. Może też odwracać naszą uwagę od problemów, pomagać nam wyciszyć się, skupić, uporządkować świat wewnętrzny i relacje z otoczeniem. Niewykluczone, że w jej wyniku powstanie frapujące dzieło, ale nie dzieło jest tu najważniejsze, a samo działanie. Talent i ocena innych w tym kontekście nie mają znaczenia. Dzięki sztuce uczymy się lepiej żyć, więcej dostrzegać w sobie i na zewnątrz.

„Kalejdoskop” niezmiennie stara się dostrzegać ciekawe działania kulturalne w regionie. W nowym dodatku „Łódzkie inspiruje” przyglądamy się wybranym miejscom oraz związanym z nimi inicjatywom. I zaskakują nas swoim bogactwem – tyle się dzieje. W tym numerze zabieramy czytelników do Zduńskiej Woli, która obchodzi 200-lecie nadania praw miejskich. Znajdą tam państwo wieloletnie tradycje muzycznej sceny alternatywnej, ruchu teatru niezależnego i budowanie tożsamości lokalnej poprzez sięganie do wielokulturowej historii miasta. Dajcie się zaskoczyć.

Spis treści

14 **Podróże z Hasem.**
Mieczysław Kuźmicki

15 **Spokój złudzeń?**
Andrzej Poniedziałki

Temat numeru

18 **Swobodny ślad.**
Edyta Anyszka

21 **Czynienie choroby widzialną.**
Dominika Pawełczyk

23 **W harmonii ze światem.**
Rozmowa z Martyną Łuszczczyńską

25 **Galeria Kalejdoskopu**
Martyna Łuszczczyńska

29 **Pomocna i dołująca.**
Łukasz Barys

34 **Jakbym się bał.**
Łukasz Maciejewski

36 **Ocean pomysłów.**
Rozmowa
z Jackiem Przybyłowiczem

40 **Ludziom przynosić radość.**
Rozmowa z Emilią Krakowską

42 **Poszukiwana „Ziemia obiecana”.**
Bogdan Sobieszek

46 **Poeta laureatus.**
Bartosz Dłubała
Piotr Grobliński



48 Kocham bardzo naszą miłość...
Marcin Filipowicz

54 Pamiętnik trudnego czasu.
Gustaw Romanowski

56 Muzyko, ratuj świat!
Dariusz Bilski

58 Skrzynka z marzeniami.
Maciej Cholewiński

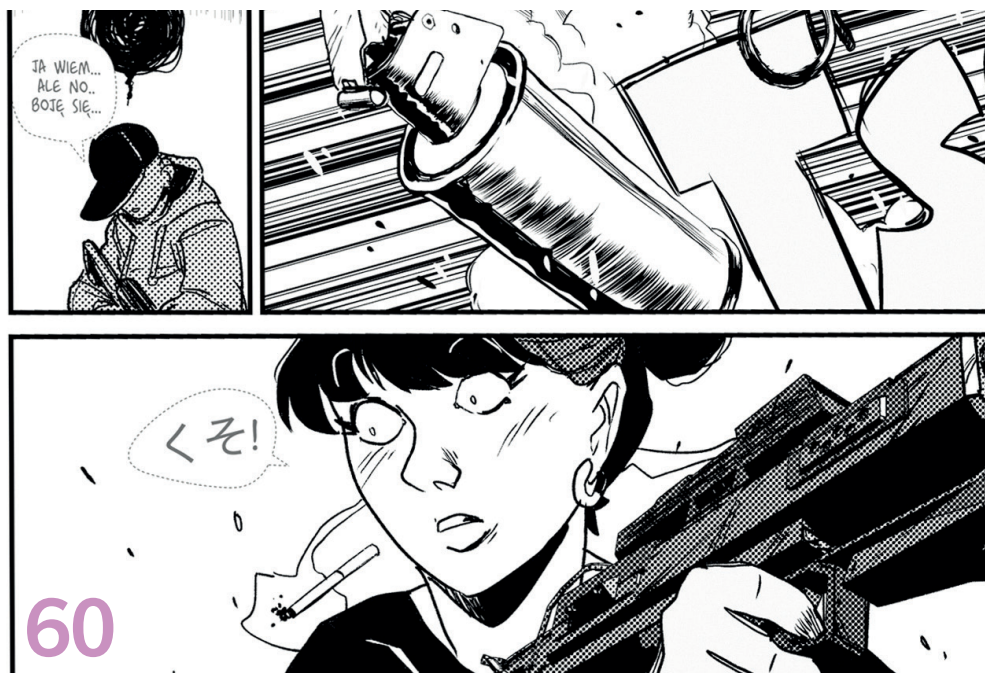
60 Czas na mangę.
Piotr Kasiński

62 Sztuka jest (ma)damą.
Monika Nowakowska

66 Nie zachwyca.
Pienisty

67-78 Dodatek „Łódzkie inspiruje”
– Zduńska Wola

79 Kalendarium



Sztuka leczy?

Wiadomo, że dzieła sztuki oddziałują na odbiorcę – zarówno treścią, jak i formą: tworzywem, kolorami, liniami, kształtami i napięciami między nimi. A jak malowanie czy rzeźbienie wpływa na samego twórcę? Okazuje się, że nie tylko umożliwia wyrażenie swojej osobowości i własnego sposobu widzenia świata, ale też pomaga sobie poznać i daje poczucie spełnienia. Skupienie na tworzeniu jest jak medytacja, która pozwala się wyciszyć, zebrać myśli, uwrażliwić na własne odczucia i pozbyć się złych emocji. Malowanie może nawet pomóc w mierzeniu się z chorobą. Zatem – pośród licznych funkcji sztuki jest i ta terapeutyczna.

Swobodny ślad

W dzisiejszym, zabieganym świecie coraz więcej dorosłych szuka sposobu na znalezienie chwili oddechu, przestrzeni w życiu na coś więcej niż praca i zajmowanie się domem. Coś, co pozwoli im oderwać się od rutyny, da poczucie spełnienia. I tu pojawia się malarstwo, które dla wielu osób staje się przestrzenią do eksperymentowania i działaniem terapeutycznym.

Edyta Anyszka

Zwłaszcza gdy uprawiane jest amatorsko – gdy dojrzały człowiek odważa się spróbować czegoś nowego. Malowanie odkrywa przed nimi nowe horyzonty. Szczególnie malowanie intuicyjne, które nie wymaga zdolności akademickich i niczego nie narzuca. Pozwala poczuć swobodę w działaniu.

Zanim zaczniemy myśleć o efektach artystycznych, warto sobie uświadomić, że malowanie to nie tylko rzemiosło i technika. Dla wielu dorosłych, którzy pierwszy raz biorą pędzel do ręki, okazuje się ono narzędziem do poznania siebie. Tu nie ma złych decyzji – każdy ruch pędzla prowadzi do nowych odkryć. Można powiedzieć, że proces tworzenia staje się metaforą życia.

Gdy siada się przed płótnem, wszystko inne przestaje istnieć – to trochę jak medytacja. Skupienie na detalach, kolorach, pociągnięciach pędzla sprawia, że na chwilę można uciec od natłoku myśli, być tu i teraz. W tym skupieniu często pojawia się przestrzeń na refleksję nad tym, co się czuje. Malarstwo wymusza cierpliwość i uważność. Widzę to, obserwując uczestników zajęć w założonej przeze mnie w 2020 r. w Leśniewicach koło Gostynina „Malowni” – przestrzeni stworzonej dla dorosłych i dzieci do wyrażania siebie poprzez swobodną kreację, gdzie brak okien pozwala na odcięcie się od świata zewnętrznego

i zaangażowanie w twórczy proces. Dla tych, którzy wcześniej wypełniali jedynie codzienne obowiązki, malowanie może stać się momentem wyciszenia.

To, co tworzymy, często mówi o nas więcej niż słowa, bo malowanie, szczególnie w amatorskiej formie, nie jest „tylko” tworzeniem obrazów. Przytoczę tu prawdziwe historie uczestników warsztatów w „Malowni” – zarówno z Vedic Art, jak i swobodnej zabawy malarskiej według metody Arno Sterna.

Obie metody są do siebie podobne i wzajemnie się uzupełniają. W obu chodzi o intuicyjne tworzenie bez narzuconego stylu czy tematu, szukanie własnego sposobu wyrazu, rozwijanie ukrytych umiejętności, a obrazy powstają tu jako „skutek uboczny” i nie są oceniane. Zabawa malarska według metody Sterna trwa jednorazowo godzinę i jest dla każdego. Według Sterna każde dziecko ma wrodzoną potrzebę wyrażania siebie i ekspresji przez rysunek. Badacz zauważył, że dzieci wykonują podobne figury niezależnie od środowiska, w jakim przebywają. Nazwał te kształty formacją, uznając, że mogą mieć związek z pierwotną pamięcią z okresu prenatalnego. W Vedic Art tworzenie obrazów jest drogą samorozwoju. Pozwala wydobywać kreatywność czy pozbywać się psychicznych blokad, zwiększa odporność na stres i pewność siebie,

Czynienie choroby widzialną

Podjęcie drogi artystycznej wiąże się z badaniem świata wysokiej wrażliwości. Dzieło sztuki, wydobywając z autora to, co często stłumione, kieruje akt twórczy ku przewyciężaniu własnych ograniczeń. Materializacja myśli i obserwacja efektów procesu artystycznego pomaga uwolnić nadmiar emocji – dawniej odgrywając rolę katharsis, a współcześnie pełniąc funkcję skutecznej terapii.

Dominika Pawełczyk

Martyna Łuszczyńska tworzy autoportrety o wiele bardziej intymne niż te, które najczulej ukazywałyby jej twarz. Autorka od dziewiątego roku życia boryka się z cukrzycą. Za pomocą ekspresyjnego malarstwa postanowiła opowiedzieć o dolegliwościach wynikających z zaburzenia funkcjonowania trzustki, które dobrze zna; wie też, jak o nich rozmawiać.

Ta szczerza inspiracja okazała się odprężającym lekarstwem na złe samopoczucie, próbą zrozumienia i akceptacji swojego ciała. Obciążenia organizmu, które mają wpływ na funkcjonowanie Łuszczyńskiej, zmieniły jej rytm życia, przeformułowały codzienność, ale również otworzyły nowe perspektywy rozwojowe.



Martyna Łuszczyńska
pośród swoich
„terapeutycznych”
obrazów

Fot. Bartosz Sikorski

W harmonii ze światem

Aleksandra Talaga-Nowacka: Czy nowe obrazy, w których bezpośrednio odwołuje się pani do tworów przyrody, jak kamienie czy drzewa, także mają dla pani charakter terapeutyczny?

Martyna Łuszczczyńska: Obecnie nie zakładam z góry terapeutycznego charakteru mojego malarstwa. To dzieje się poza mną. Pracę nad każdym obrazem zaczynam intuicyjnie i czekam na rezultat. Kiedy maluję, czuję się wspaniale. Koncept naturalnych struktur działa na mnie kojąco i pozwala na oddech od przytłaczającej codzienności. Natura zawsze była dla mnie punktem odniesienia, nie tylko wizualnym, ale także emocjonalnym. Sam proces malarski jest terapeutyczny. Gdy przelewam emocje na płótno, czuję ulgę. Moja relacja z malarstwem jest głęboka i złożona. Uważam, że jest ono dla mnie jak powietrze. W pewnym sensie moje obrazy są zapisem dialogu między mną a przyrodą – próbą uchwycenia jej energii i rytmu.

Dlaczego wybrała pani okrągły kształt obrazów?

Okrągły format nie jest przypadkowy – jest próbą uchwycenia harmonii między chaosem a porządkiem, strukturą a emocją. To kształt, który od wieków symbolizuje doskonałość, harmonię i cykliczność oraz odwołuje się do idealnych proporcji, które można znaleźć w naturze. Jest formą pozbawioną hierarchii, otwartą i pełną równowagi. Ostatnio dowiedziałam się

o teorii Carla Gustava Junga, który interpretował mandale jako odzwierciedlenie jaźni, części psychiki łączącej świadomość z nieświadomością. Tworzenie mandali miało pomagać jego pacjentom „w procesie samopoznania i integracji różnych aspektów ich osobowości”. Wpisuję swoje ekspresyjne działania w idealną formę koła, aby uspokoić kompozycję oraz nadać pracy harmonijny charakter. Okrągła forma podkreśla też organiczność obrazów, wprowadza naturalny porządek i spokój. Kształt tonda sprawia, że kompozycja jest bardziej płynna i otwarta – nie ogranicza spojrzenia, lecz zaprasza do środka. Co ważne, koło nie narzuca podziału na pion i poziom, to odbiorca decyduje o jego orientacji, odnajdując własny punkt równowagi.

Jaki jest pani przekaz?

Chcę swoimi obrazami powiedzieć, że nasze życie jest czystą abstrakcją. W świecie pełnym narzuconego porządku i klasyfikacji chcę podkreślić jego wielogatunkowość i cudowną różnorodność. Unikam figuratywnych form, aby pozostawić odbiorcy pełną swobodę interpretacji i pobudzić jego wyobraźnię. Nasze wewnętrzne i otaczające nas zewnętrzne dźwięki, jak bicie serca, oddech, szum fal bądź deszczu, składają się na zgodny z naturalnym rytmem głos świata. Od chwili narodzin każdy organizm wytwarza swój indywidualny rytm – „melodię”, która towarzyszy mu przez

Ocean pomysłów

Do premiery „Morza” zaprosiliśmy dwóch światowej klasy choreografów: Emanuela Gata i Douglasa Lee. Jesteśmy dumni, że obaj przyjęli zaproszenie Teatru Wielkiego w Łodzi. Lee będzie po raz pierwszy współpracował z zespołem z tej części Europy – mówi Jacek Przybyłowicz, choreograf i kurator Łódzkich Spotkań Baletowych, autor choreografii „Pärt/s” w ramach premiery „Morze”, która odbędzie się 26 kwietnia w Teatrze Wielkim w Łodzi.

Olaf Jackowski: Twoje pierwsze wspomnienie związane z Łodzią...?

Jacek Przybyłowicz: Dotyczy Łódzkich Spotkań Baletowych. Podczas jednej z edycji festiwalu Państwowa Szkoła Baletowa w Warszawie, której byłem uczniem, prezentowała spektakl „Śpiąca Królowna”. Można powiedzieć, że było to pierwsze tournée, w którym wziąłem udział (śmiech). Później, kiedy już zostałem zawodowym tancerzem, członkiem zespołu baletowego Teatru Wielkiego w Warszawie, przygotowałem swoją pierwszą choreografię – „Negocjacje” do muzyki Alessandra Marcela. Dostałem I nagrodę za najlepszą choreografię i interpretację na II Ogólnopolskim Konkursie Choreograficznym w Łodzi. Przedstawienie to było prezentowane także w Teatrze Wielkim w Warszawie w ramach Warszawskich Dni Tańca i w Operze w Dortmundzie. To był 1991 rok, na chwilę przed moim wyjazdem z Polski.

W zespołach zagranicznych tańczyłeś przez ponad dziesięć lat, w tym na siedem sezonów związałeś się z Kibbutz Contemporary Dance Company w Izraelu. Jak wspominasz tamten okres?

W Warszawie głównie tańczyłem w repertuarze klasycznym, podczas gdy w Izraelu trafiłem do zespołu na wskroś współczesnego. W sezonie przygotowaliśmy jedną premierę, do której próby trwały 11 miesięcy, a było to spowodowane ogromnym skupieniem na procesie kreacji choreograficznej, poświęceniem uwagi każdemu drobiazgowi. Tego typu teatry autorskie, w których naczelny choreograf wytycza główną ścieżkę artystyczną zespołu, są twórczym luksusem. Droga od tancerza klasycznego do współczesnego była dla mnie niezwykle trudna i wymagała determinacji. Dzięki temu dziś mam łatwość operowania różnymi stylistykami, co bardzo mi pomaga w pracy choreografa – mogę



Fot. Joanna Miklaszewska

pracować w dużym zespole klasycznym, a następnego dnia w zespole współczesnym. Oba gatunki zazębiają się w moich pracach. Myśl, że może pewnego dnia zostanę choreografem, dojrzewała we mnie powoli od czasów, gdy byłem jeszcze początkującym tancerzem. W pewnym momencie zrozumiałem, że muszę wyjechać za granicę, aby jako przyszły choreograf nauczyć się w swój własny sposób przekazywać naturalne, intuicyjne umiejętności w kontekście scenicznym.

Które ze swoich prac uważasz za przełomowe?

Bardzo istotnym dla mnie spektaklem był „Naszyjnik gołębic”, który w 2003 roku przygotowałem na zaproszenie Ewy Wycichowskiej w Polskim Teatrze Tańca w Poznaniu. To przedstawienie umożliwiło mi artystyczny powrót do kraju, było prezentowane podczas Biennale de la dance w Lyonie i na Łódzkich Spotkaniach Baletowych. Ważne dla mnie były także moje pierwsze choreograficzne kroki na dużej scenie Teatru Wielkiego w Warszawie, takie spektakle, jak III Symfonia „Pieśń o nocy”, „Sześć skrzydeł aniołów” i II koncert skrzypcowy Szymanowskiego. W tych

produkcjach mogłem wykorzystać to, czego doświadczyłem jako tancerz podczas kariery wykonawczej – język choreograficzny, sposób montowania ruchu i wykorzystywania rysunku przestrzennego.

Przez pięć lat byłeś dyrektorem zespołu baletowego Teatru Wielkiego w Poznaniu, później współtworzyłeś program rozwoju artystycznego baletu Opery Wrocławskiej. Od 2024 roku związany jesteś z Teatrem Wielkim w Łodzi jako choreograf-rezydent i kurator Łódzkich Spotkań Baletowych. Co łączy cię z tym festiwałem?

Jak wspominałem, miałem możliwość występować na nim już jako uczeń szkoły baletowej, a następnie kilkanaście lat później, w 1997 roku, jako tancerz Kibbutz Contemporary Dance Company w Izraelu – to był spektakl, do którego choreografię stworzył Rami Be’er. Później na Łódzkich Spotkaniach Baletowych prezentowane były także moje prace – wspomniany „Naszyjnik gołębic”, a także „Made in China” w wykonaniu BeijingDance/LDTX, największego zespołu tańca współczesnego w Pekinie i jednego z największych w Chinach. Było to dla mnie niezwykle doświadczenie – móc powrócić

Kocham bardzo naszą miłość...

O tym związku wiedziałem od dawna. Kiedy ciocia była już starszą, mieszkającą samotnie osobą, czasem wyjmowała listy i je przeglądała. Miały dla niej wartość sentymentalną i chociaż nie wczytywała się już w ich treść, samo oglądanie sprawiało jej przyjemność – o historii znajomości Janusza Różewicza i Zofii Próchnickiej oraz o losach ich korespondencji pisze Marcin Filipowicz.

Marcin Filipowicz

Moja ciocia Zofia Próchnicka i Janusz Różewicz poznali się przed II wojną światową w Radomsku, w gimnazjum Fabianiego. Zostali parą. Do dziś zachowało się sporo ich wspólnych zdjęć, krótkie wiersze Janusza do jego sympatii i zwiędłe, często rymowane dedykacje skreślone ręką poety na odwrocie podarowanych Zofii fotografii. Po zdaniu matury ciocia Zulka (jak ją nazywaliśmy) pojechała na studia do Warszawy, a Janusz w ramach obowiązkowej służby wojskowej trafił do podchorążówki piechoty w Częstochowie. Z tego m.in. okresu pochodzą jego pierwsze listy do Zofii. Prosto z podchorążówki Janusz poszedł na wojnę, natomiast rodzina Próchnickich na początku okupacji przeniosła się do majątku Żuchowice nieopodal Radomska.

Działając w konspiracji, ukochany ciocie nie zaprzestał przesyłania listów, zmienił się jednak jego charakter pisma. Był to środek ostrożności związany z tym, że Janusz znalazł się w wywiadzie Armii Krajowej. Chodził w mundurze niemieckim i podawał się za Niemca. Doskonale znał

język, wyjeżdżał nawet do Niemiec. Przyjął pseudonim Gustaw. W czerwcu 1944 r. został aresztowany w Łodzi na Radwańskiej i pięć miesięcy później rozstrzelany przez Niemców. Jego ciało odnaleziono po wojnie na terenie cmentarza żydowskiego. Utwory Janusza Różewicza oraz wspomnienia o nim i poświęcone mu wiersze ukazały się w książce „Nasz starszy brat”, opracowanej przez Tadeusza Różewicza.

Wspomniane listy Janusza Różewicza do Zofii Próchnickiej (siostry mojej mamy, Marii Próchnickiej) zachowały się w odpisach. O tym związku wiedziałem od dawna. Kiedy ciocia była już starszą, mieszkającą samotnie osobą, czasem je wyjmowała i przeglądała. Mieszkała w niewielkim domu na warszawskiej Sadybie. Listy miały dla niej wartość sentymentalną i chociaż nie wczytywała się już w ich treść, oglądanie ich sprawiało jej przyjemność.

Zdawałem sobie sprawę z ich wartości literackiej, dlatego starałem się, żeby nie uległy rozproszeniu. Umieściłem je razem

w kopercie z odpowiednią adnotacją. Jednak oryginały listów zaginęły, tak jak wiele innych przedmiotów z domu cioci.

Dopiero po śmierci mojej mamy w 2013 roku i likwidacji jej mieszkania wpadła mi w ręce teczka, którą już wcześniej znałem. Zawierała sporządzone na maszynie odpisy listów Janusza. Mama okazała się bardziej zapobiegliwa niż ja, bo jako historyk sztuki miała świadomość nietrwałości przedmiotów. Ale też darzyła sympatią „narzeczonego” swojej starszej siostry, którego dobrze znała i podziwiała jako poetę, co potwierdziła, gdy razem spisywaliśmy jej wspomnienia. Kiedy więc czytam listy Janusza do Zofii, mam przed oczami scenę spotkania, które przywołują. Wiem na przykład, jak wygląda „pokój na górcze”, gdzie odbywały się lekcje francuskiego, o których pisze Janusz.

Pierwszy z przepisanych listów datowany jest na 2 X 1938 r., ostatni na 31 V 1944. Oczywiście historia znalazła w nich swoje odzwierciedlenie. Korespondencja wypełniona jest przy tym poetyckimi fragmentami, które są tak gęste emocjonalnie, że zastępują wiersze (tych Janusz już nie tworzy od momentu wybuchu wojny).

Utyskiwanie na przymusową uniformizację z pierwszych listów (z czasów obowiązkowej służby wojskowej) ustępuje miejsca refleksjom na temat zbliżającej się wojny i goryczy związanej z przyspieszonym pożegnaniem dzieciństwa. Potem w listach, jak w oczach adresatki, odbija się na zmianę groza wojny i nuda codzienności, wypełniana lekturami oraz tęsknotą za Zosią. Krótką fazę optymizmu przynoszą listy powierzchownie relacjonujące aktywność Janusza w konspiracji i odzwierciedlające radość, jaką ta praca mu przynosi. Przymusowe rozstanie z czasu przedwojennego wywołuje gorycz zazdrości. Listy zawierają także gorzkie, ale dojrzałe przemyślenia na temat ich relacji. W liście z 8 XI 1938 r. chwali się Zosi: „Wyobraź sobie, że ten twój Janusz nie tylko prowadzi konferansjerkę,



Zdjęcia z archiwum
Marcina Filipowicza

Janusz Różewicz
i Zofia Próchnicka
w Żuchowicach

ale występuje jako deklamator, aktor, reżyser i autor wierszy (przysłać?), kupletów, skeczów... Mówisz, że Ci tym wcale nie imponowałem”. Warto zwrócić uwagę, że na treści tych listów nie kładzie się jeszcze cień wojny. W liście z 23 IV 1939 r. Janusz pisze z humorem: „Jutro pluton na szpiccy, prawdopodobnie znajdę się gdzieś na patrolu – obecnie patrole włóczące się po lasach i polach nieustannie są na tropie wiosny, nic więc dziwnego, że ku zmar-twieniu naszych dowódców patrolowcy tak często giną”...